[19.]

Dla tych, co boją się ruszyć z miejsca

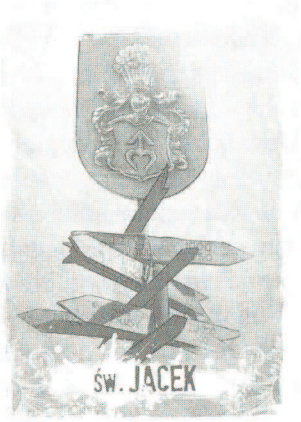

Świętego Jacka po raz pierwszy spotkałem w początkach sierpnia 1995 roku. Miałem 18 lat, gdy ciężko przerażony zapukałem do furty poznańskiego nowicjatu dominikanów. Odbyłem rekolekcje. Na oczach lejącej łzy rodziny wdziałem habit. Zanurzałem się w zakonną codzienność. Niektóre z jej elementów przyprawiały mnie o mdłości, ale były też takie, które polubiłem. Choćby wieczorne procesje – bracia po nieszporach podążali do kaplicy Matki Bożej, śpiewając *Salve Regina*. W środy procesja miała dwa przystanki – po Matce Bożej przychodziła kolej na świętego Jacka, któremu śpiewaliśmy antyfonę *Ave Florum*. Śpiewaliśmy – to dużo powiedziane. W tym utworze są miejsca, które właściwie zaintonować może chyba tylko ktoś operujący sopranem, a większość z nas nie dysponowała ani głosem, ani – niestety – słuchem. W środowy wieczór świątynię wypełniało więc jednostajne wycie. Do obrazu patrona polskich dominikanów dochodziliśmy zawsze w szampańskich nastrojach. Polubiłem świętego, który dostarczał mi tyle radości.

Gdy w klasztornej bibliotece znalazłem życiorys świętego, zaimponował mi jego nonkonformizm. Jestem pewien, że kiedy Jacek Odrowąż jako krakowski kanonik podejmował decyzję o wyjeździe do Rzymu, a później o wstąpieniu do nowego zakonu, miał wokół siebie ludzi, którzy znacząco pukali się w czoło. Tłumaczyli, że z pewnością sprzeciwia się woli Bożej, że ulega dziwnym podszeptom, że zamiast pracować organicznie tam, gdzie został postawiony, ucieka w duchowe ekstrawagancje. Wracając z Rzymu, Jacek ograniczył swoją rolę do rzucania pomysłów. Tak widział swoje powołanie – idąc przez Europę, chciał zarażać ludzi wiarą, rzucać ziarno, pozwalając, by później rosło sobie samo albo by doglądał go kto inny (w tym celu zakładał przyklasztorne szkoły). Przypominał współczesnego biznesmena, który zakłada firmę i zostawia ją, gdy ta ma już mocną pozycję na rynku, by szukać nowych wyzwań.

Spodobał mi się ten człowiek, który nie trząsł się nad każdym swoim projektem, wiedział, że życie to niedające się skalkulować ryzyko, to miejsce na wolne decyzje naszych braci, naszych słuchaczy, ale i naszych współpracowników – tych, którzy nas kiedyś zastąpią. To nie dopięty na ostatni guzik księgowy bilans, raczej – układane przez nas wszystkich i bez pewności powodzenia gigantyczne puzzle.

Jest też jednak i inna rzecz, która mnie w Jacku ujmuje. Kilkanaście lat temu, kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki zbiór dominikańskich legend, zapamiętałem z nich tak naprawdę tylko jedno zdanie. Święty Jacek zwierzał się komuś, że wszystko, co robi, jest piękne, ale on musi już się, niestety, pożegnać, bo chce iść ewangelizować Kumanów, o których nie wiedział nic poza tym, że muszą gdzieś być. Pewnie na końcu świata. Proste nawiązanie do koncepcji Jezusa, który rozsyłając swoich uczniów, nie apelował do nich, by szli tam, dokąd będą mogli, tam, dokąd da się dojechać, tam, dokąd zostaną zaproszeni. Jezus grupce prowincjonalnych biznesmenów z branży rybnej mówi: *The Sky is the limit*. Nakreśla program szalony. Mówi: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie

narody". Gdyby apostołowie przełożyli piękną ideę Jezusa na duszpasterski biznesplan, ocenili, gdzie uda im się coś uzyskać, a gdzie nie – my, być może, wierzylibyśmy dziś w Trygława.

Mówiąc o Kumanach, święty Jacek z pewnością zakładał, że nie powitają go oni kwiatami ani nie czekają, by usłyszeć, co ma im do powiedzenia. Mimo to chciał do nich dotrzeć. Chciał rozmawiać. Przypomniałem sobie wyraźnie o świętym Jacku, gdy kiedyś jeden z dzienników podniósł wielkie larum, że organizatorzy kolejnego Zjazdu Gnieźnieńskiego zaprosili do jednej z debat obok kardynała Tarcisia Bertonego i wielu innych związanych z Kościołem osób także człowieka, który od Kościoła jest bardzo daleko, a czasem – z naszego punktu widzenia – głosi tezy po prostu idiotyczne. Peter Singer, bo o nim mowa, został okrzyczany antychrystem, którego nie należy wpuszczać na katolickie salony. Święty Jacek chciał iść do wszystkich, bez względu na to, czy go lubią, czy nie, czy mówią mądrze, czy wygadują głupoty. Może miał też w pamięci fragment Ewangelii mówiący o tym, że nasz czas nie jest wieczny. Że z przeciwnikiem, również tym ideowym, trzeba spróbować się pojednać, dopóki jest się z nim w drodze.

Tu oczywiście powstaje pytanie, czy tego typu podejście nie trąci wcale nieświętą naiwnością, czy nie stoi w sprzeczności z danym nam przez Boga rozumem. Czy warto tracić czas na debaty z tymi, o których wiemy, że i tak zdania nie zmienią? Mam wielki dylemat, gdy czasem zapraszają mnie na konwentykle przedstawiciele środowisk antykościelnych. W kontaktach z nimi przyjąłem zasadę, że sprawdzam, czy mimo iż nie są to ludzie z mojej bajki, będzie tam z kim pogadać, aby dyskusja nie była serią monologów. Oczywiście, że przyjemniej mówić do ludzi przekonanych co do tego, iż mamy rację, takich, którzy spijają z naszych ust każde słowo, ale kto wie, czy z czegoś, co z pozoru wydaje się stratą czasu, nie wyrośnie cokolwiek w przyszłości! Uwolnienie się od myśli o potencjalnym efekcie jako koniecznym warunku podjęcia pracy, dopuszczenie, że możemy osiągnąć tylko tyle i aż tyle na niwie ewangelizacji świata, że dzięki jakiemuś słowu, które rzucimy, ktoś kiedyś podejmie w życiu odrobinę lepszą decyzję – wymaga zwykle od publicysty, kaznodziei czy pisarza pewnych zmagań w obszarze poczucia własnej wartości.

Ostatnia z cech w mojej prywatnej litanii do cnót świętego Jacka to towarzyskość. Mówiąc dzisiejszym językiem: bywał, rozmawiał, jadał, brał udział w spotkaniach. Wielcy świadkowie wiary idą zwykle jedną z dwóch dróg. Jedni, na przykład mnisi z klasztorów kontemplacyjnych, toczą życie z dala od świata, a świat przejęty ich odmiennością odwiedza ich na peryferiach. Drudzy zostają w samym środku zdarzeń, by tam stanowić jasny, niewzruszony punkt odniesienia dla wszystkich, którzy się wokół kręcą. Stają się latarnią, wtopioną na dobre w wielkomiejski krajobraz, której w dzień zwykle nie zauważamy, ale gdy zapada ciemność – pomaga nam trafić do celu. To nie Jacek był autorem słynnego dominikańskiego motto *Contemplata aliis tradere* – przekazywać innym owoce kontemplacji, ale tak właśnie żył i dlatego może być dziś patronem wszystkich, którzy starają się mówić o wierze, zakorzenieni na stałe w samym środku świata.